Nr. 9 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, wrzesień 1926 | Rok XLVII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI — We wrześniu wolno polować na wszelką zwierzynę łowną, prócz zajęcy.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł, 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiej Spółki Myśliwskiej ul. Lindego 9, w godz. 12—1. — Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Pamiętajmy o ofiarach na ołtarz św. Huberta!

PROSIMY USILNIE CZŁONKÓW NASZYCH O DALSZE OFIARY NA DOKOŃCZENIE KAPLICY ŚW. HUBERTA!

WILHELM WYCHERA

DO ARTYKUŁU

Z ROZWAŻAŃ NAD USTAWĄ ŁOWIECKĄ

Brak nowej, polskiej ustawy łowieckiej, zmusza nas do posługiwania się krajową ustawą łowiecką z 1909 r. Istnieją w niej wprawdzie pewne niedopowiedzenia, względnie braki charakterystyczne dla wszystkich prawie ustaw z czasów austrjackich, w których paragraf miewał dwa końce, a każda ustawa potrzebne „furtki“, tem niemniej jednak ma być ona na czas obecny faktycznym regulatorem naszego życia łowieckiego. Licząc się z tem, powinniśmy przestać uważać ją za jakieś przejściowe malum necessarium, które z powodu rzeczonych braków, a zwłaszcza swego pseudo-obcego pochodzenia, mogłoby lub wręcz miałoby służyć za przedmiot do dowolnego interpretowania i stosowania. Cierpi na tem w pierwszej linji powaga naszych Władz, jeśli coraz częściej i ogólniej słyszy się narzekania na sprzeczną w sobie różnorodność sposobów interpretowania tej ustawy — zależnie od danego Województwa, Starostwa, a nawet osoby referenta. Cierpi zarazem także interes naszego łowiectwa, którego widomym wyrazem i uprawnionym przedstawicielem jest M. T. Ł. I stąd aż się prosi, by właśnie M. T. Ł. zostało pośrednikiem między martwą i zamazaną literą, a życiem i wzięło na siebie starania o poprawę istniejącego stanu rzeczy. Dlatego rzucam taką myśl: stworzyć na łamach „Łowca“ osobną rubrykę p. t. „Z rozważań nad ustawą łowiecką“, przeprowadzić w niej wyczerpującą dyskusję nad tymi artykułami ustawy, które po dziś dzień stanowią nierozwiązany jeszcze problem, następnie powierzyć jakiejś komisji zredagowanie z nadesłanych uwag „objaśnień do ustawy“ i wreszcie uprosić P. p. Wojewodów, by w formie okólników przekazali te objaśnienia do zastosowania Starostwom. Gdyby nawet to ostatnie udać się nie miało, to w każdym razie takie rozważania wpływ swój duży i dodatni wywrzeć muszą, stanowiąc choćby podręcznik dla P. p. Delegatów i Wydziału, a M.T.Ł. udowodni raz jeszcze, że jak zwykle w każdej żywotnej sprawie, bierze inicjatywę w swoje ręce w imię dobra naszego łowiectwa. Myśl, którą rzucam, nie jest całkiem nowa, gdyż uprzedził już ją zawarty w numerze 5-tym „Łowca“ artykuł pióra p. Starosty A. Ulma p. n. „Z rozważań nad ustawą łowiecką“, skąd też pozwalam sobie wziąć asumpt do wprowadzenia tej nazwy na stałe. Stwierdzam przytem, że olbrzymią zasługą P. Starosty stało się to, że zabrał głos w przedmiocie nigdy dotąd na łamach „Łowca“ nieporuszanym, jakkolwiek sprawę, którą się zajął, traktował apodyktycznie, nie dopuszczając w zasadzie do dyskusji nad nią. W każdym razie od myśliwych, wypatrujących od dawna w „Łowcu“ jakiejś dyskusji nad ustawą, należy mu się cześć i podziękowanie za przełamanie lodów.

Ponieważ zagadnienia ujęte przez p. A. Ulma w dwa pytania są osią nieporozumień w stosunkach między dzierżawcami i gminami a Władzami politycznemi, przeto bez zamiaru polemizowania z wytrawnym znawcą prawa, a ustawy łowieckiej w szczególności, chcę jedynie dać na nie odpowiedź inną, sformułowaną z podsłuchanych opinji, które uważać trzeba jako vox populi. Czynię to w tym celu, by dokonane już rozstrzygnięcie nie pozostało sądem Parysa.

Zajmę się przedewszystkiem tą częścią pytania pierwszego, która dotyczy przedłużenia dzierżawy: który Wydział Spółki Łowieckiej — stary, czy nowy — ma tego przedłużenia dokonać w ostatnim roku trwania dzierżawy i przed 1-szym sierpnia?

Ustawodawca w § 20 zastrzegł, że okres dzierżawy musi trwać przynajmniej lat 6, lecz może trwać i do lat 12; równocześnie w tym samym § zastrzega konsekwentnie przydzielenie enklaw, które jest głównym celem procesu ustalania okręgu, również przynajmniej na lat 6, dopuszczając tem samem i czas dłuższy zgody z okresem dzierżawy; w § 28 postanowił ponadto, że w ostatnim roku okresu dzierżawy **(a nie w 6-tym roku dzierżawy!)** może ten okres nie skończyć swego życia, lecz być przedłużonym do lat 12, względnie 18, a nawet 24.

Te swoje postanowienia dostosował ustawodawca logicznie do § 10, w którym na Władzę polityczną nałożył obowiązek ustalania okręgu „najpóźniej na rok przed upływem okresu dzierżawy“, a nie w 6-tym roku jej trwania. Widać z tego, że ustawodawca w myśl interesów obu kontrahentów, jak i zwłaszcza gospodarki łowieckiej chciał pójść jaknajdalej na rękę zachowaniu ciągłości dzierżawy, skoro nawet w żadnem miejscu nie postanowił tego, co dziś stało się modnem, że przedmiot dzierżawy musi być co lat 6 ustalany.

Proceder ten staje się bezcelowym: jest tylko formą bez treści oraz niezapłaconym niczem trudem w odniesieniu i do tych gmin, gdzie radykalnych zmian, sięgających na zewnątrz granic dotychczasowego okręgu, niema, gdzie zatem przedmiot dzierżawy pozostaje ten sam, a prawo wyborcze nowego członka Spółki nie może być i tak w odpowiednim czasie pominięte.

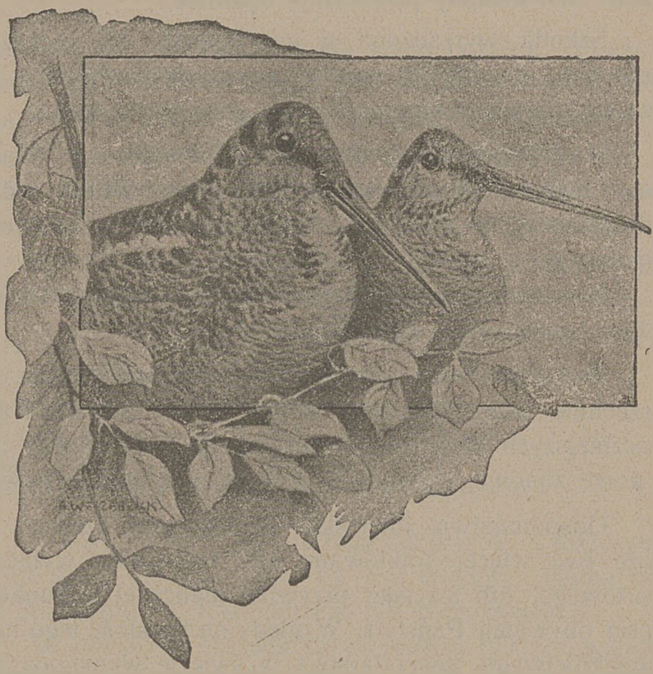
Chodziłoby jeszcze o podmiot dzierżawy, względnie o wydział Spółki łowieckiej: stary, czy nowy? Ustawa w § 13 przewiduje urzędowanie wydziału przez lat 6, zna więc tylko wydział urzędujący... Jest on powołany nie do spełnienia jednorazowej czynności i to w pierwszych dniach swego istnienia, lecz do bezwzględnego zarządza-

nia własnością Spółki w granicach ustawy i do załatwiania wszelkich czynności, które w ciągu lat 6-ciu przychodzą na tapet, członkom zaś Spółki przysługuje wedle § 38 zażalenie do powiatowej Władzy politycznej przeciwko tym uchwałom wydziału, które dotyczą użytkowania i dzierżawy prawa polowania. Jeśli do tego dodamy i to jeszcze, że przedłużenie ustawy winno nastąpić między 1. lutego a 1. sierpnia, to oczywista dokonać tego może tylko Wydział „stary“, gdyż „nowy“ w dniu 1. lutego jeszcze absolutnie istnieć nie jest w stanie. Powyższy pogląd myśliwych na zagadnienia ujęte przez p. A. Ulma w części pierwszego pytania ma swoje dobre strony i w odniesieniu do odpowiedzi na pytanie drugie. Usuwając konieczność ustalenia okręgu i wyboru wydziału Spółki łowieckiej, nie zmusza tem samem do szukania wyjścia z sytuacji przez roczne prowizorjum w tych przynajmniej wypadkach, kiedy następuje prolongata dzierżawy i nie prowadzi do zupełnego zaprzeczenia istnienia § 28 ustawy, co w tym drugim wypadku ma właśnie miejsce.

Wprowadzenie wspomnianego prowizorjum ma te wady, że

1. jest sprzeczne z ustawą;
2. wprowadza niebezpieczny precedens;
3. usuwa odpowiedzialność za niewykonanie § 10 ustawy;
4. jest niewykonalne, gdyż powiatowa Władza polityczna nie może narzucić Spółce ani osoby dzierżawcy ani warunków dzierżawy.

Wynika stąd, że trzeba szukać innego wyjścia, gdy chodzi o odpowiedź na pozostałą część zagadnień.



KAROL DUDNIK

ODSTRZAŁ SIUT

Nawiązując do ostatniego ustępu sprawozdania z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 16. grudnia 1925, gdzie Wydział motywuje odmowne załatwienie pewnego żądania o odstrzał kóz w zimie — argumentem, że w porze tej trudniej poznać kozę jałową aniżeli w lecie, pozwoliłem sobie tych kilka uwag podać do wiadomości publicznej w nadziei, iż na tem tle wywiąże się, według mego zdania, bardzo pożądana wymiana zdań pomiędzy więcej doświadczonymi fachowcami.

Znając przypadkowo treść owego podania, niech mi wolno będzie sprostować, że wspomniany Zarząd nie zamierzał dokonać odstrzału na polowaniach gremjalnych, lecz na podjazdach przez personal własny łowiecki, składający się z myśliwych doborowych.

Ogólnie jestem zdania, że co do praktycznego rozpoznania kozy jałowej, nadaje się zima lepiej, aniżeli pora letnia, a twierdzenie to popieram jak następuje:

W porze letniej zarośnięte są zręby przeważnie wysokiemi trawami, tak, że myśliwy przy największej ostrożności może młode przeoczyć.

W porze letniej nadto sarna kryje się przed komarami i bąkami przeważnie w okolicznych łąkach, trzcinach lub też w zbożu, tak, że w rewirze leśnym trudno się z nią spotkać.

W zimie natomiast odstrzał kóz jałowych o tyle jest łatwy, że sarny gromadzą się w lesie, a kozy jałowe nie chodzą w towarzystwie młodych, co można skonstatować przy stosunkowo niedługiem obserwowaniu zwierzyny. W razie pomyłki strata jest nieznaczna, gdyż młode są odrośnięte, a matki im już nie potrzeba.

Tu nasuwa się pytanie, czy należy odstrzał kóz ograniczyć wyłącznie tylko do jałowych, względnie, czy jest to dla racjonalnej hodowli wystarczające?

Przyjmijmy konkretny rewir, w którym n. p. na obszarze leśnym około 2.000 morgów w warunkach co do terenu dobrych, znajduje się stan sarn około 350 sztuk, w tem około 80 rogaczy różnego kalibru. Przyjmiemy przyrost roczny z tylko 150 kóz po dwoje młodych, otrzymamy stan dla roku następnego przeszło 600 sztuk.

Ten konkretny wypadek jest mi znany. Dla ciekawości podnoszę, że odstrzał w tym rewirze jest nawet i co do rogaczy zamknięty, ponieważ inne rewiry w powiecie wyniszczono.

Automatycznie nasuwa nam się tu drugie pytanie: jaki stan sarn uważać mamy za normalny? Czy obok zwykłego odstrzału rogaczy należy się ograniczyć do odstrzału li tylko kóz jałowych?

Stan powyższy (nawet i o połowę mniejszy) musimy uważać za nadmierny, gdyż zagraża on kulturze leśnej.

Rozumna gospodarka leśna, zwłaszcza w czasach obecnych po dokonanem zniszczeniu dorobku leśnego conajmniej 20-letniego, kładzie nacisk na wprowadzenie

w zręby wojenne gatunków drzew szlachetniejszych, jak dębiny, jesiona i drzew szpilkowych, które są przez zwierzynę stale ogryzane, tak, że nalot naturalny, składający się przeważnie z gatunków lichych jak osik lub brzóz, dębów odroślowych i t. p., szlachetne sadzonki przerasta i zupełnie zagłuszy. Z tej przyczyny pozostaną w przyszłości drzewostany przeważnie opałowe.

Szkoda wyrządzona w ten sposób na większych obszarach przedstawia sumy setek tysięcy złotych a naraża na szwank rentowność całej gospodarki leśnej.

Podporządkowanie łowiectwa zwłaszcza w obecnej porze, gdzie w stosunkowo krótkim czasie należy zadane lasowi ciosy naprawić, przedstawia się jako kategoryczny imperatyw.

Nie od rzeczy będzie też zwrócić uwagę na należyte zużycie odstrzelonej zwierzyny.

W porze letniej zbycie zwierzyny natrafia na powszechnie znane trudności, a jest często, zwłaszcza przy znaczniejszych ilościach, iluzorycznem, podczas gdy zbyt w porze zimowej, głównie w grudniu, jest zawsze łatwym.

Gospodarstwo łowieckie w obecnych czasach nie może być więcej traktowane ze stanowiska wyłącznie sportowego, lub też jako przywilej nielicznej stosunkowo części obywateli Państwa. Względy na trwalość tego może najpiękniejszego gospodarstwa w świecie wymagają, aby też ludność niemyśliwa, przedstawiająca olbrzymią większość, z gospodarstwa łowieckiego korzystała, czego możemy dokonać przez obfite zaopatrzenie targu w zwierzynę po cenach umiarkowanych.

Dlatego w parze z racjonalną hodowlą musi iść rozumny odstrzał zwierzyny. Konieczną jest zatem rewizja w traktowaniu sprawy odstrzału siut wogóle, a przez P.T. Towarzystwo Łowieckie w szczególności, głównie w kierunku indywidualizowania podań o odstrzał zwierzyny.

Koniecznie należałoby rozróżnić pomiędzy gospodarstwami racjonalnie przez fachowców prowadzonemi, t. j. takiemi, które zwierzynę w ilościach conajmniej normalnych hodują i ją przez ustanowioną straż łowiecka chronią, a gospodarstwami łowieckiemi innych kategorji.

* * *

Z treścią powyższego artykułu nie we wszystkiem się zgadzamy, celem jednak wywołania rzeczowej dyskusji, która niewątpliwie będzie z korzyścią dla spraw łowieckich, poruszonych przez Szan. Autora, chętnie go publikujemy, zastrzegając sobie głos ostatni. *Red.*



MISTRZ · ROTMISTRZ

Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało...

Ciąg dalszy

ROZDZIAŁ V.

Jakoż rzeczywiście, zabrawszy się do roboty, jak to się mówi, rękami i nogami, dokazałem tyle, że w miesiąc później znalazłem się w Sonthhamptire, na pokładzie parowca „Remember to Anna", który mnie miał zawieść wprost na Antyle, do raju kolibrów i ich krewniaków, o upierzeniu podobnem do drogich kamieni i złota.

Z początku podróży, było mi bardzo ciężko na duszy. Sama już przypadkowa zresztą nazwa statku „pamiętaj o Annie", zbyt bolesne wywoływała wspomnienia. Smutno mi było i tęskno.

Daremnie starałem się rozumowaniem odpędzić drogą zjawę. Zapewne, że Anulka jest słodka i miła memu sercu, ale znowu tak wielka krzywda jej się przecież nie stała. Parę całusów toć nie trutka dla dziewczyny. Moje wysokie posłannictwo łowieckie, moje służby poświęcone św. Hubertowi i Djanie, co chyżo w biegu, boskiemi stopami, dogania jelenia, nie pozwalają mi się wiązać tu na ziemi, trwałymi węzłami.

Złośliwe zaś postąpienie ze mną sąsiadów, ów ostracyzm zaściankowy, niesłuszną był i ostrą karą za poryw krwi, za przelotne poddanie się rozkoszy pocałunku.

A jednak biedna Anula i żal mi jej serdecznie. Ona tam tęskni może za mną, może cierpi niesprawiedliwe wyrzuty od zagniewanych rodziców. A wszystko przezemnie, przez moją niezręczną słabość do płci pięknej, przez lekkomyślne bałamucenie dziewczęcia.

To dziwna rzecz, jaki ja łasy jestem na wdzięki kobiece. Wystarczy, by która oczkiem na mnie zerknęła, wystarczy czuły uścisk dłoni, już po mnie.

Ej, już dzisiaj chyba nie wystarczy. Tylko oczka Anuli, tylko jej rączki śnią mi się po całych nocach.

Tak zmagałem się na statku ze wzrastająąem uczuciem i daremnie usiłowałem obałamucić stęsknione serce, sofistycznemi wykrętami,

Kochające serca ludzkie, są jak dziki przed nagonką. Gdy raz wezmą kierunek, to żadna nagonka, choćby z najprzebieglejszych ustek złożona, żadne strzały rywalek, nie są w stanie odwrócić je z wybranej uczuciem drogi. . . . .

Dopiero na pełnym oceanie, kiedy z oczu straciłem stary ląd Europy i kiedy mnie obwiały szerokie fale wichrów, zrobiło mi się nieco lżej, a myśl, że każda godzina, każdy obrót śruby okrętowej, zbliża mnie ku brzegu, gdzie mam rozpocząć upragnione przezemnie prace, rozpraszała tęsknoty, głuszyła wyrzuty sumienia. Wreszcie po długich tygodniach nudnej żeglugi, sygnalizują z „bocianiego gniazda", że już widać ziemię, cudny podzwrotnikowy kraj, palmami porosły, Chwała Bogu, bo tyle czasu nic nie widzieć, prócz wody i nieba, to wielka męka, dla takiego jak ja zatrwardziałego szczura lądowego.

Moi współtowarzysze również cieszą się z końca podróży, która monotonnością wszystkim dokuczyła.

A. K.

PEWNE UWAGI I PRZYKŁADY, KTÓRE TEGO NIE ZNAJDĄ, BY JE WZIĄŁ DO SIEBIE

Czytając w ostatnim numerze „Łowca“ o takim, co nie powinien być zaproszony więcej na polowanie, uczułem się w moją myśl tak celnie trafiony, że mimo nieznajomości pióra, muszę zareagować.

Gdy spytasz drugiego lub ktoś ciebie, co zdziałałeś w ubiegłym roku myśliwskim? Odpowiesz: „zabiłem „x“ jajęcy, „y“ rogaczy, strzelałem do dzików z mniejszym lub większym skutkiem“ etc. Ani się domyślisz, że mogło komuś chodzić i o co innego. Wedle rozkładu nie ceni się myśliwego. Aby zabić głuszca, dzika lub jelenia, nie potrzeba być jeszcze koniecznie myśliwym. Wystarczy być na wyższem stanowisku przypadkowo w górskim powiecie lub być bogatym i trochę próżności. Dadzą ci wszystko pod lufę, a jak dziś nie trafisz, to trafisz jutro. Jeśli św. Hubert zechce znów cud uczynić, to tak ci dziki ustawi, że za jednem pociągnięciem kurka także trzy uśmiercisz. Myśliwym jest ten, co o zwierzyniec dba, a nie ten, co tylko w zwierzyńcu strzela. Hodowca - strzelec w jednej osobie zasługuje dopiero na miano myśliwego. Przy wzrastającym nadmiarze ziejących śrutówek, byłoby wskazanem, by w myśliwym hodowca wziął górę nad strzelcem, a nie powodował się jednostronną pasją.

Wyobrażam sobie myśliwego z tytułem Wielkiego, taką wyjątkową znakomitość, którąby była sławną sama przez się, osobą mityczną dla wielu pokoleń, któregoby celność strzałów skierowaną była przeważnie do drapieżnika, któryby potrafił zmierzyć do jelenia i sztuciec odłożyć, bo mu się w tej chwili ten wydał za piękny, by go na śmierć skazywać. Jednem słowem, być wielkim opiekunem stworzeń, które się bronić same nie potrafią, a być głównie pogromcą szkodników. Jest to wyższy talent, który uznaje słowa Wojskiego z Pana Tadeusza:

„Za moich, panie, czasów, w języku strzeleckim
Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem szlacheckim,
A zwierzę nie mające kłów, rogów, pazurów
Zostawiono dla płatnych sług i dworskich ciurów;
Żaden pan nigdy przyjąć niechciałby do ręki
Strzelby, którą shańbiono, sypiąc w nią śrut cienki!

Wielki myśliwy jest to tytuł tak wysoki i zaszczytny, że już sama historja uczy, by być wielkim, trzeba było być Aleksandrem, Kazimierzem lub Napoleonem.

W obecnych czasach przywykliśmy tylko do wielkich dzieci, które w miarę dojrzałości swego wieku, zatracają tradycję swej przeszłości. Aby być wielkim, trzeba nim być, a dojść do wiedzy, że się nim nie jest. Żyjących takich nie widzę, o umarłych nie mówię, ale starajmy się, by z narodu naszego taki wyszedł. Posiadamy tylko myśliwych wybitnych, ale jeszcze nie wielkich.

Wszyscy się pakują, zbierają, żegnają. Gwar i rwetes nieopisany.

Nazajutrz zebrałem sobie niewielką karawanę, złożoną z krajowców i kilku metysów jako przewodników, a załatwiwszy niezbędne formalności urzędowe, opuściłem coprędzej nędzną portową mieścinę.

Jak wilka do lasu, tak mnie ciągnęło do puszczy. Czułem, że gdy raz mnie obejmie wielka koicielka trosk ludzkich, zwłaszcza serdecznych, gdy utonę w jej bezmiarze, wtedy opuszczą mnie smutne myśli, wywietrzeje tęsknota, będę mógł bezpodzielnie oddać się pracy, dla której zdrowie, życie nawet poświęcić byłem gotów.

Ogarnęła mnie formalna gorączka czynu. Bezustannie napędzałem moich ludzi do pracy. Wszystko, cokolwiek robili, było mi za powolne. Łowy ich na kolibry, wydawały mi się szczytem niedołęstwa i ślamazarności. Podejrzewałem ich nawet o złą wolę.

A jednak sprawiedliwość każe przyznać, że tubylcy, pod kierownictwem doświadczonych i znających doskonale puszczę metysów, dzielnie się spisywali. Przygotowane na ten cel klatki, z dnia na dzień zapełniały się świegotliwym kolibrzym ludkiem.

Aby jeszcze przyśpieszyć łówkę tych barwnych motyli ptasiego rodu, świecących w słońcu jak zbiór najpyszniejszych drogich kamieni, wpadłem na pomysł, którego rezultaty przeszły najśmielsze moje nadzieje.

Oto wystawiłem na słońcu szereg zwierciadeł, otaczając je dokoła sidełkami Niedaleko w cieniu, zastawialiśmy korytka z wodą. Czyż dacie wiarę przyjaciele, że kolibry, używszy chłodnej kąpieli, leciały coprędzej spojrzeć w zwierciadła, sycąc miłość własną, widokiem nieporównanych barw upierzenia, błyszczących kroplami wody, jak brylantami. Biedaki zlatywały się całemi gromadkami i zajęte podziwianiem siebie, wpadały niebaczne, w zastawione sidełka.

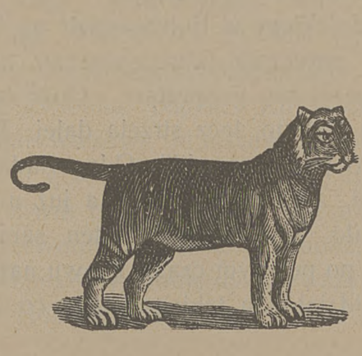
Toteż nadspodziewanie rychło napełniły się nasze klatki, a gdy osiągnąłem potrzebną dla moich celów ilość, postanowiłem resztę czasu poświęcić łowom, w nieznanej mi dotąd części świata.

Strzelałem do wszystkiego cokolwiek lata i biega w podzwrotnikowych lasach. Padały ofiarą mojej myśliwskiej namiętności, wszelkie gatunki zwierząt, bezkreśne zamieszkujących sawanny. Spotykałem się dość często z krokodylami, względnie z ich krewniakami kaimanami. Wyznaję jednak, że tu, w swem otoczeniu naturalnem, nie robiły te płazy na mnie tego wrażenia, jak ów Bagnowicki „krukodzieł“, którego wziąłem za smoka.

Moim zwyczajem opuszczam tu spotkanie, gdzie prócz celnego strzału i padającej ofiary, nie było nic szczególniejszego do zanotowania, a podam wam, towarzysze mili, tylko wypadki wprost niezwykłe, ciekawe strzały lub dramatyczne spotkania.

. . . .

C. d. n.



Przedewszystkiem zdaje mi się, mylnie ojcowie myśliwi (a kto dziś nim nie jest) wychowują swych synów, a po większej części czy to z braku czasu, czy z wygody nie troszczą się wcale szlachetnym rozwojem ich umysłów, tylko byle jak najprędzej dać im coś do ręki, by mogli zabijać.

Czy to każdy musi być myśliwym?

Niech ojciec stara się wpoić w swe dzieci zamiłowanie do natury, niech wpierw umieją przyrodę pokochać i nią się cieszyć; w domu niech się opiekują królikami, drobiem, gołębiami, ptaszkami zimą, niech wiozą do lasu karmę dla zwierzyny, przy pacierzu można dodać po „daj Boże“ zdrowie babci i cioci, zajączkom i sarenkom. A później dopiero, gdy się w nich obudzi nienawiść do szkodników, mogą strzelać, ale nie aby edukacja syna zaczynała się od zabijania. Ale jeśli synowi nieprzygotowanemu, rozbrykanemu daje się strzelbinę, by móc się pochwalić takim genjuszem, co już w 10-tym roku zabił zająca śpiącego lub przy kapuście, to czem więcej ojciec takich będzie miał synów, to tem mniej będzie miał zajęcy. Wychowa sobie tatuś sprawnych szkodników. Przytoczę tylko kilka faktów z wielu, które wydają się być facecjami, a jednak są rzeczywistością.

Byłem raz na polowaniu z jednym panem, już prawie pełnoletnim, który po skończonym miocie zaalterowany świeżem wrażeniem, opowiadał: „Wiecie państwo, miałem śliczny strzal, zając siadł mi na pięć kroków i... strzelba mi klapnęła!“ Tej zimy było kilka dni, w których zając nie mógł ze śniegu się wydobyć i dawał takiemu niemyśliwemu wiele sposobności do takich ślicznych, rekordowych strzałów. Był i taki, któremu Boże przebacz, bo nie wiedział co czyni, skoro się chwalił strzałem, od którego padło całe stadko kuropatw, a jak i tego spadkobierca nie będzie wiedział co czyni, to gotów ten śliczny strzał umieścić w nekrologji swego ojca.

W tym sezonie polowałem w łęgach nad Czeremoszem. Odemnie trzeci stoi na stanowisku pan Z. Nim nagonka ruszyła, widzę palumbariusa bezkarnie płynącego bez ruchu w powietrzu nad głową tego pana. Po skończonym miocie pytam: czemu pan nie strzelał do przelatującego szkodnika? „Nie chciałem pierwszy strzelać, by nie płoszyć zwierzyny“. Pytam, a gdyby to był zając, to byłby pan także nie strzelał? „Ma się rozumieć, że do zająca byłbym walił“ — była odpowiedź pana, który już zabił wilka, dzika, głuszca i jarząbka.

Czyż nie lepiej byłby ich ojciec zrobił, gdyby był dał każdy swemu synkowi jakiś inny instrument, może gitarę do ręki zamiast strzelby? Poco tworzyć sztucznie strzelaczy i szkodników myślistwa!

U p. Mędreckiego w Bobrowcach na Bukowinie stoi na ciągu słonek porucznik Bauchenbichler. Strzelbę z 16-tu nabojami pożyczył mu gospodarz. Gość ten strzelał bez końca, robi się ciemno, lecz strzela dalej. Przychodzą do niego, pytają co pan zastrzelił? Odpowiada: „Gdzieś tu jedna być musi, ale ot znów leci, a już niemam naboi“. Co się pokazało. Był to jeden i ten sam nieśmiertelny kozodój, który po pewnym czasie znowu nawracał. Pytano dalej. A nie widział pan takiego ptaka co chrapał? „Słyszałem coś podobnego, ale to była sowa“. I teraz trudno powiedzieć, czy taki sportowiec byłby miał większe szczęście ze szablą na linji A. B. czy ze strzelbą na linji C. D. Czy to każdy musi strzelać?

Pędzono pole. Staliśmy w wielkiem półkole. Obok siebie stało dwóch umundurowanych. Starszy z nich i przełożony mierzy do zająca, ale ze strzałem tak długo nie może być gotów, aż ten zrównuje się z sąsiadem. Zagrożony (nie zając, ale podwładny) rozumie się na grzeczności, skacze w górę jak wysoko umie, strzał pada, wszystko żyje, młodzieniec odbiera gratulacje.

Właściciel polowania stawiał takich bezwzględnych zdala od nerwowych.

Inny sposób polowania. Miot polny. Dzień słoneczny i łagodny. Wszyscy trzeźwi. Pan major elegancko ubrany, z przypiętemi ostrogami na kaloszach, kładzie się na wielkie wyścielone futro na śniegu, głową odwrócony w przeciwnym kierunku nagonki. Przy jego boku siedzi na czatach żołnierz z przewieszonym na szyi karabinem. Gdy się zając zbliżał na odległość strzału, sługa alarmował swego pana. Zając spostrzegał ruchomą placówkę, zawracał, a gdy i przyszło do strzału, kończyło się ugodowo, gdyż wilk po sutem śniadaniu był i tak syty, a owca uchodziła cało. Łagodny wilk za owcą nie gonił, lecz spokojnie drzemkę ponawiał. Służbista siedział na „baczność“, z karabinu na szczęście użytku nie robił.

Nowomodna etykieta: Pan X zaproszony na polowanie, przywozi ze sobą, bez pytania, gospodarzowi nieznanych trzech pomocników. Wreszcie przypadkowy wypadek sporadyczny już podczas pokoju, ale z rozpędu wojennego, przy którym osobiście nie byłem. Gość po skończonem polowaniu, każe służącemu pakować zajączki na auto i odjeżdża.

Ostatnie przykłady są z Bärenlandu, zbliżonego do Bałkanu, więc podpadają łagodzącym okolicznościom, a w takim kraju, gdzie może paść 15 niedźwiedzi w dwu miotach, trzeba niejedno wybaczyć.

Kto winien zniknięciu grubego zwierza, który zalegał ongiś masami nieprzebyte bory? Człowiek wyższej kultury. Smutny horoskop na przyszłość, jeśli nie pojmiemy zadania wielkiego myśliwego. Niech ten wielki zasłużony idzie sobie po wieczną nagrodę, ale tych strzelaczy co błąkają się po ziemi, pokornie prosimy, do piekieł strąć Boże, przesłyszało mi się... amen. Wobec grożącego piekła radzi się więc tym strzelającym, którym wypada być myśliwymi, by się dowiedzieli, jakie są elementarne zasady chcącego władać strzelbą, a to w szczególności tak w kierunku do zwierzyny, jak i nie w kierunku do ludzi.

Czemu, kto chce iść na bal, przedtem uczy się tańczyć?



Dr. MICHAŁ MOYSA-ROSOCHACKI

TOKI W ROKU 1926

(szkic z mego dziennika myśliwskiego)

Życie wioskowego ziemianina w dalekim zakątku Małopolski, to dla laików używanie przyjemności wiejskich, dobrobyt, wygody, brak wszelkich trosk, to nieróbstwo, konne spacery, zjazdy sąsiedzkie, a w zimie kuligi i polowania.

Jak całkiem inaczej życie to przedstawia się w rzeczywislości, zawód ten, pomimo, że pracujemy w Państwie rolniczem, po macoszemu traktowany, stan ziemiański dla celów demagogicznych systematycznie zochydzany a przy tem w pełni wykorzystywany, to objekt mniej lub więcej etycznych szantażów lub prób takowych.

Nic dziwnego, że człowiek z dnia na dzień nie pewien swego warsztatu pracy, swej ukochanej, wiekami utrzymywanej ojcowizny, walczy nietylko z ustawicznemi trudnościami codziennego życia — ale także niestety przeważnie bezskutecznie — z ogarniającem go coraz silniej pesymizmem. Niezłomna ufność w sprawiedliwość Wszechmocnego i czasowa całkowita zmiana otoczenia i warunków bytu, to jedyne lekarstwo na tę chorobę serca i duszy.

Tu w zapadłych górach Styryjskich znachodzę nietylko wspaniały urok toków, ale przebywając w otoczeniu ludzi prawych i pogodnych, nabieram sił do dalszych walk naszego ciężkiego zawodu.

To tajemnica czarów toków Styryjskich.

We Wiedniu zastaję już raport z mego rewiru. We czwartek dnia 22. kwietnia wyjeżdżam z Wiednia po kilkudniowym pobycie tamże raniutko koleją południową. Śliczne widoki Semeringu. Szczególnie w okolicy Paerbachu i za Brukiem nad Murawą dziś zamglone, nie uwidoczniają się tak wspaniale jak w pełni słońca.

Następna jazda kolejowa, wąskotorową koleją elektryczną jest również piękna i interesująca; jedziemy wzdłuż potoku Breitenau. Po obu stronach toru strome choć niewysokie lesiste szczyty, ubrane wspaniałą zielonością w najrozmaitszych odcieniach. Określenie „Zielona Styrja“ stało się przysłowiowe. Siły wodne wykorzystane wszędzie przy mniej lub więcej prymitywnych urządzeniach. Widzę dużą ilość tartaków i młynów przeważnie chłopskich, jak również prawie wszędzie światło elektryczne. Po drodze spotykam lśniące z czystości, świetnie utrzymane konie typu Pintzgauerów, które ciągną potężne kloce do tartaków, woły siwe w chomontach i z poduszkami na czołach rolników, którzy z wielką wytrwałością przygotowują na stromych stokach ubogą glebę pod późny siew.

Chcąc się dostać do celu naszej podróży, musimy pokonać jeszcze prawie trzygodzinną jazdę kołową drogą wiodącą serpentynami wśród ładnych, często zmieniających się widoków. Już prawie pod wieczór przyjeżdżam do G. witany serdecznie przez tamtejszych gospodarzy i strzelców. W sąsiedniej wiosce zastaję już moich zeszłorocznych znajomych, którzy również w tym roku polują w sąsiedztwie; pan E. dobry myśliwy i strzelec, typ swobodnego i wesołego styryjczyka, opowiada cuda o swoim psie, od którego się nie odłącza. Jest to wielki, czarny owczarz niemiecki, rasowy, o inteligentnych oczach, który rzekomo w zupełności zastępuje wyżła i tropowca, a więc nietylko wyszukuje postrzałki i aportuje je, ale chodzi także do wody na kaczki i w pole na kuropatwy, które wystawia. Jeśli to prawda — czego naturalnie stwiedzić nie mogę — to „Alfons“, tak się wabi — ten piesek wielkości dobrego cielaka byłby rzeczywiście fenomenem swojej rasy. Pan E, pełen życia i temperamentu, z niewyczerpanym zapasem dykteryjek i anegdot, jest w zapadłych górach przyjemnym towarzyszem na czas niedługi.

Miejsce mego chwilowego pobytu, gdzie również mieszkają towarzysze z pod znaku św. Hubcrta, którzy polują w sąsiedztwie, ma jednak tę nieocenioną wartość, że każdy może zupełnie swobodnie — nikim i niczem niekrępowany — prowadzić życie indywidualne. Spanie, jedzenie, pogadanki i wreszcie wybór towarzystwa wedle upodobania. Chłop-gospodarz, nauczyciel, zarobnik, ksiądz, strzelec i osacznik, wreszcie ewentualny towarzysz myśliwy, stanowią dość chyba urozmaicony wybór pod względem towarzyskim. Znając od lat 14 tutejsze zwyczaje oraz djalekt, życie i charakter tutejszych mieszkańców, czuję się jak w domu.

Tylko w jednym kierunku panuje tu od lat wielu ustalona niezłomna dyscyplina: B, który jest zarówno gospodarzem jak starszym strzelcem, wobec tego moralnie odpowiedzialnym za wynik tokowisk, rozsyła osaczników, przeznacza każdemu myśliwemu przewodnika, miejsce i godzinę. Zarządzenia te bywają z pedantyczną ścisłością wykonywane.

Odbieram od niego krótki raport myśliwski za rok ubiegły z mego rewiru: celem zaszanowania zwierzyny, której stan wskutek różnych okoliczności w ostatnich latach się zmniejszył, polowań gremjalnych jesiennych nie urządzano całkiem, a rogaczy również przez caly rok nie strzelano. Natomiast wytępiono dość dużo szkodników, w szczególności zastrzelono i złapano w żelaza 8 lisów, 1 kunę leśną — została spalona podczas wykurzania. Zima była bardzo łagodna, śniegu mało, sanna tylko przez dwa tygodnie, głuszce i cietrzewie przetrwały zimę dobrze wiosna była zimna. Stan kogutów mniejwięcej taki sam, jak roku zeszłego. Tokowiska te same z roku na rok wymagają tylko kontroli przed polowaniem.

Dnia 23. kwietnia, piątek: Kilka godzin snu i już słyszę jak zegar wieżowy miejscowego kościółka poważnym, miarowym głosem wybija godzinę drugą po północy. W tej samej chwili puka do drzwi osacznik, przeznaczony mi dziś na przewodnika. Od 40 lat chodzi on już na wysłuchy, cichy, spokojny, obojętny na wszystko, co się naokoło dzieje. Noc ciemna; Hansl — tak się nazywa mój

przewodnik — Idzie naprzód z latarnią w ręku. Idziemy wprzód drogą powiatową, wkrótce skręcamy w las i dalej pod górę drogą leśną dość wygodną, widzę dużo okorowanych modrzewi, pociętych na progi kolejowe. Jesteśmy u celu, wszędzie cicho. Krótki wypoczynek i idziemy dalej pod górę; po prawej stronie dolina pokryta drzewostanem szpilkowym, po lewej ręce stok lesisty, przeważnie świerki, gdzieniegdzie w dość dalekich odstępach młode modrzewia, te ulubione i na czas toków przez głuszce wybierane drzewa szpilkowe.

Strzelec mój zatrzymuje się i proponuje, by tu posłuchać; w tej samej chwili słyszę metalicznie brzmiący „telek-telek“, a potem całą, zawsze tak wspaniałą pieśń koguta. Zaczynam wedle prawideł zaskakiwać. jest to może najwięcej emocjonująca część polowania, nerwy w największem napięciu, czy głuszec nie przerwie gry, czy będzie można zbliżyć się na odległość strzału. Częste niewygodne pozyzje, w których dłuższy czas nieruchomo pozostać trzeba, ta wspaniała sztuka prawidłowego zaskakiwania, by w czasie przerwy pieśni nie sprawić najmniejszego szelestu, by być stale krytym jak długo się dokładnie nie wie, na którem drzewie głuszec gra. Ścisłe zżycie się i zrozumienie natury królewskiego ptaka, to wielka rozkosz myśliwska.

Od pierwszej chwili orjętuję się wedle pieśni, że kogut musi być po lewej stronie drogi niedalego nad nią. Widzę nieruchomo na drzewie siedzącą kurę, oprócz tej jeszcze trzy inne wabią przed nami w górze, ale ich nie widać. Chcąc wykorzystać zasłonę drzew, opuszczam ścieżkę i idę kilka kroków na lewo stromym pagórkiem. Podczas następnej zwrotki jeszcze jeden krok i jak wspaniały widok przedstawia się moim oczom. Kilkanaście kroków przedemną, tuż nad drogą leśną, w otoczeniu ciemnych świerków, stoi młody modrzew. Na środkowej jego gałęzi zupełnie widocznie siedzi głuszec. Spogląda ku wschodowi, słucha głośnego wabienia kur, z wachlarzem otwartym, jakgdyby zdjęty z obrazu Chełmońskiego. Chętniebym mu jeszcze przydłużył żywota, wsłuchiwał się w pieśń i obserwował charakterystyczne jego ruchy. Niestety, już zaczyna świtać. Kontury okolicy zarysowują się coraz widoczniej, kury wabią coraz głośniej i natarczywiej. Najwyższy czas; zaraz kogut zacznie się niepokoić. Z żalem strzelam i po chwili podnoszę mego, w tym sezonie pierwszego głuszca: godzina 4·30 rano, umilkły kury strzałem spłoszone, zamilkł wśród życia rozkoszy tajemniczy król leśnej ustroni. Już świta leniwie — budzi się dzień mglisty, ponury.



Szlachta drobna na Polesiu

Z pamiętników i notat ś. p. J. Gluzińskiego.

Ciąg dalszy

Po przejrzeniu miejscowości, po odwiedzeniu kilku chat przy zwykłem odezwaniu się wszędzie po wejściu: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, zadowolony bardzo, bo prawie w każdej chacie na stole pokrytym czystem płótnem czynowatem, zastaliśmy bułkę chleba nienapoczętą i sól, z którego skrawek (przylepkę) według zwyczaju, poważając dar Boski i gościnność, zajadałem z towarzyszem, pogadawszy, popieściwszy się z dziećmi gdzie były: odpłynęliśmy rzeką Uszą w górę wody ku Rudni Nalibockiej.

— Otóż to panie w tem zagęstwieniu, odezwał się stary przewoźnik, są słobody bobrowe (osady). Jakoż spotkaliśmy słobodę jedną, drugą i trzecią, na dwa i trzy i cztery pietra. Komnaty zaś ich w zrąb, były zbudowane z drzewa grubego jak ręka, z krąglaków ukośnie ścinanych i na zręby pozacinanych bardzo mądrze i szczelnie; niektóre nawet były iłem a raczej namułem wodnym wylepione; nakryte były w różny sposób drobnemi gałęziami, prawie w kształt daszkowaty, w przegrodach środkowych były gdzieniegdzie grzędy, widać do ich noclegu lub odpoczynku potrzebne. Budowle te prawie do połowy były zatopione w wodzie i umocowane palisadami.

Cicho czółnem podjeżdżając, o ile było można, dwa razy słyszeliśmy plusk w wodę z komnat wewnętrznych zapewnie od bobra, tylkośmy go dojrzeć nie mogli.

— On, powiedział Tomasz, jak pluśnie w wodę, daleko od nieprzyjaciela po dnie rzeki odbiega i potem cały pogrążony tylko nosek nad wodę pokaże dla oddechu.

Na wyższych miejscach obok rzeki widzieliśmy mnóstwo rybich łusek i skorupek z raków, z których bobry mięso powyjadali, Niedaleko przy rzece był przylądek a tam orna ziemia: mój przewodnik opowiadał, że tu z brzegu, roku przeszłego był owies a dalej na obszerniejszem polu groch już w strączkach a wtenczas on z synem wyszli ze strzelbami na zające młodziaki.

— Coś się zaczerniało w grochu — mówił, — myśleliśmy czy nie dzik warchlak (roczniak), wykręciliśmy szrót a nabili grubemi siekańcami (ucinki z wałeczka ołowiu) i zaczęliśmy zwierza obchodzić od strony wody i lasu wielkiego. W tem pomaleńku z między nas wysuwa się zwierz a to był biedny bóbr na grochu żerujący; jak zaczął biedak przystanąwszy płakać to jak roczne dziecię a słysząc to, aż się serce od użalenia krajało. Kiwnęliśmy na siebie i rozstąpili się aby mu zostawić drogę do przejścia ku wodzie, a gdy się z nami pomaleńku rozminął, rzucał się jak piłka kaprująca ze swoim ciężkim podniesionym ogonem i szybko plusnął do rzeki, To panie (mówił dalej) dawnemi czasy, tu po całej rzece aż od Rudni Nalibockiej były bobrowe słobody, za książąt Radziwiłłów, ale jak książę Dominik syn Karola musiał zmykać za granicę a wojna nieoszczędziła nawet bogactw zamku Nieświeżskiego, to też nielitościwe brodacze, wyszukując po dobrach Radziwiłłowskich dla siebie łupu, napadli i na te poczciwe słobody bobrów i one wytrapili do szczętu tak, że dopiero w lat kilkanaście potem, znowu się pokazała nie-

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

ZWIERZYNIEC W POZNANIU
(SPRAWOZDANIE ZA ROK 1925)

Przeglądam pilnie nadesłane mi uprzejmie sprawozdanie jedynego polskiego zoologicznego Ogrodu w Poznaniu i dusza napawa się troską o przyszłość, a twarz okrywa się rumieńcem wstydu. Jedyna, oryginalna i niezmiernie żywotna placówka kulturalna w Polsce, potężna instytucja naukowa, licząca dziś 645 sztuk zwierząt w 183 gatunkach — zamyka rok ubiegły z wielkim deficytem. Państwo nie daje ani grosza subwencji, instytucja żyje ofiarną pracą Zarządu i ofiarą nielicznych jednostek. Deficyt kasowy zwierzyńca Poznańskiego jest deficytem moralnym całego społeczeństwa. W dzisiejszych twardych czasach załamać się może jednostka, upaść mogą mniejsze lub większe spółki, lecz upaść nie może to, co jest kulturalnym dorobkiem narodu, czem interesować się i o co starać się powinien jeśli nie każdy obywatel państwa, to każdy Polak z punktu ambicji i dumy narodowej. Choćby tylko żywić codziennie inwentarz składający się z 645 mniej lub więcej żarłocznych sztuk, to wielkie zadanie i wymaga pieniędzy i pieniędzy.

Utrzymanie Zwierzyńca kosztuje obecnie 450 zł dziennie, t. j. miesięcznie 13.500 zł, rocznie zaś 162.000 zł — i na tę kwotę zdobyć się chyba naród może i musi. Pomyślmy tylko, do jakiego rozkwitu doszedłby Zwierzyniec i ile żubrów byśmy w nim mieli, gdyby każdy palący odmówił sobie 20 papierosów w roku i tego jednego złotego odesłał do Poznania. Mybyśmy wtedy mieli w Polsce dziesięć zwierzyńców i całego Hagenbecka mogli zakupić.

O potrzebie Zwierzyńca i jego żywotności niech świadczą cyfry z ubiegłego roku: za każdorazowem opłaceniem wstępnego, zwiedziło Zwierzyniec 181.167 osób, nadto darmo zwiedziło go 30.183 dzieci i 6.566 żołnierzy. Razem 207.916 osób. To liczba imponująca.

Czytamy w sprawozdaniu: „Honor narodowy nie zezwolił na to, abyśmy poprzestali na pokazywaniu tylko tego, cośmy znaleźli po zaborcach w bardzo ubogiej i nędznej szacie. Nasz Ogród zoologiczny zwiedzają wszyscy i najwyżsi dostojnicy Państwa, wszelkie wycieczki krajowe i zagraniczne i każdy przejezdny do Poznania, a wszyscy wyrażają się jaknajpochlebniej. Nie wolno więc skazać na zagładę i wegetację instytucję, która stanęła wysoko i o której wiadomo już zagranicą.

W roku sprawozdawczym zakupiono dla uzupełnienia zwierzostanu z najważniejszych zwierząt: 1 lwicę, 1 parę gnu błękitnego, 1 jelenia aksis, 1 pumę, 1 antylopę indyjską, 1 parę kóz tar, 1 kangura, 1 owcę muflon, 1 pelikana, 1 kazuara, 2 borsuki miodowniki, 1 parę jeżatek afrykańskich, 1 wielbłąda jednogarbnego, ogółem zaś zakupiono: 25 ssaków, 63 ptaków czyli 88 zwierząt wartości 39.000 zł.

Przez przyrost przybyło: 40 ssaków, 45 ptaków, zaś jako dary otrzymaliśmy: 49 ssaków, 34 ptaków. Ogólnie

---

wiedzieć zkąd słoboda a podobno z lasów i wód od Wiszniowa i ot, z niej się one jakokolwiek rozmnożyły. One należą do naszego wydziału lasów, to też bardzo postrzegamy aby nikt nie kradł tego poczciwego stworzenia. Łakoma to rzecz ukraść bobra, bo dobrze za niego płacą; mięso ich wprawdzie kiepskie na pokarm ale ogon z grochem jak mówią jest wyborną potrawą pańską, którą można jadać w poście, bo chociaż jest bardzo tłusty, jakby przerastała słonina, ale ma smak rybi, bo choć bóbr w komnacie swojej na grzędzie odpoczywa to ogon jego w wodzie moknie: jest pokryty jakby łuską rybią szeroki jak łopata a w nim bóbr ma wielką siłę, przygina dość grube drzewa do ścięcia i pale nim zabija dla utwierdzenia domów. Ale, choć tam mały pożytek z mięsa i z ogona na pańskie stoły, za to skóra bobra w dobrą porę płaci się od 70 do 100 złotych, zaś za strój bobrowy, to jest tłuszcz z mosznów pod ogonem, apteki czasem płacą i po 200 złotych, dlatego to na nich bardzo łakomią się złodzieje.

Na wodach ku Wiszniówce, pomiędzy prawie niedostępnemi lasami jest słobód kilkanaście i tam do ich pilnowania od złodziei Hr. Adam Chreptowicz trzyma umyślnie bobrowniczego, a u nas jest dość mało, bo się nadrzeczne lasy wytrzebiają na węgle do Rudni i nawet mówią, że się tędy ma przeprowadzić droga do Delatycz, to i reszta bobrów się rozejdzie, bo one dla swych słobód potrzebują wielkiej spokojności, są bowiem bardzo dzikie.

— Patrzajcie, patrzajcie ojcze! rzekłem, a toż kto tu wyciął te olszyny pień w pień w takim mało dostępnym miejscu?

— A to panie bobry, odpowiedział, one to powycinały zębami na budowę swoich domków; ot niech pan patrzy, jaka to była gruba olszyna jak noga! a my z moim synem podglądaliśmy cichaczem, to bóbr zębami ciach, ciach, ciach! z ukosa w okamgnieniu zrąbał i przewrócił ogonem a niech pan uważa, to każde drzewo jest z ukosa ścięte.

Z tej potem okolicy Nadniemieńskiej wypłynąwszy rzeczką Uszą na Kromańkę, płynęliśmy powoli, bo pod wodę, ku domowi, to jest ku siedzibie Tomasza, i rozmawiali o różnych przedmiotach, a stary był kontent, że się miał przed kim wygadać a na wszystkie zapytania miał chętną i gotową odpowiedź. Opowiadał on, że jezioro Kromań mające około trzy wiorsty obwodu, leżace przy trakcie od Szczors do Nalibok jest bardzo głębokie; że tu była wieś przed wiekami i był kościół; wtenczas jeszcze otaczających teraz lasów nie było, ale ta wieś się zapadła i z kościołem w przeddzień Zielonych Świątek i na tem miejscu, od rzeki Drywięćnianki stanęło jezioro, które się Kromań nazywa, tak jak się wieś owa nazywała.

Bo ta tak było: Dwoje młodych ludzi młodzieniec i dziewczyna, pokochali się bardzo w śród postu a w wielką sobotę późno idąc z kościoła po resurekcij diabeł ich podkusił i na ustroniu gdzieś zgrzeszyli, chcieli oni pokryć swoją niesławę i grzech po wielkanocnej spowiedzi popełniony, zabrali się w siedem tygodni później do ślubu, akurat także jak już powiedziałem w sobotę, gdy ksiądz przed ołtarzem dla nich zaśpiewał Veni Creator!

C. d. n.

pryybyło przez cały rok: 114 ssaków, 142 ptaków czyli 256 zwierząt, wartości 49.000 zł. Jako dary w zwierzętach otrzymał Ogród zoologiczny w 1925 r. następujące okazy: Radca Szczepkowski: 1 parę polskich rysi; J. Zawodny, Poznań: 1 jastrzębia; St. Lilpop, Warszawa: 2 wydry; Kańduła: 1 jastrzębia; p. Fenrych maj. Pudliszki: 1 wilczycę; J. George, Śmigiel: 2 kozły; inż. Okoniewski, Katowice: 1 papugę „Jako“; Nadleśnictwo Nowina: 2 lisy; cyrk Cosmy: 14 kóz angorskich; W. Dakowski, Lubawa: 1 żółwia; Dr. St. Klocek, Bezarabów Młp.: 1 rysia; W. Niechciałkowski, Poznań: 1 pustułkę; L. Szulc, Poznań: 8 świnek morskich; A. Mamlok, Warszawa: 1 małpę Rezus; Biliński, Poznań: 2 tchórze; A. Stich, Turkowo: 1 fretkę; Dr. Osowicki, Poznań: 4 dzikie łabędzie; Dom Rosociny: 1 borsuka; St. Chełmicki, Zakrzewo: 1 jelenia; maj. Modrze: 1 rogacza; Dr. Jagielski, Poznań: 3 wiewiórki; Frankowski, Bydgoszcz: 1 lisa; St. Malec, Poznań: 2 puhacze; Minister Raczkiewicz, Warszawa: 1 wilka; Wł. Chmielewski, Poznań: 8 gołębi; J. Sołtysiński, Czeszewo: 1 bąka; Państwowe Nadleśnictwo Grabówno: 1 sarenkę, 1 dzika; prof. Moczarski, Sołacz: 2 owce; maj. Bronisławski: 1 lisa; M. Bełtowski, Poznań: 1 myszołowa; Smudziński, Goranin: 2 dzikie gęsi; St. hr. Czarnecki, Gogolewo: 2 łabędzie; A. Lubojański, Lubliniec: 1 małpę; Izak Donigiewicz, Kuty, Młp.: 1 jastrzębia; P. Sokolniccy z Brzozy: 1 jelenia; płk. Kristinus, Grudziądz: 1 rogacza; hr. Bnińska: 1 orła stepowego; Dr. A. Dziurzyński: 1 pustułkę; B. Janota, Poznań: 3 kaczki tureckie; L. Retz, Strzelce: 1 para kur karłow.; Gimnazjum Radziechów: 1 orła krótkoszpona.

Wskutek rozmaitych chorób zeszły z ważniejszych zwierząt: 1 antylopa końska (wągier na mózgu), 1 jeleń aksis, 1 bizon (zapalenie płuc), 1 tapir (gruźlica), 2 gazele (zapalenie płuc) i 2 orły.

Ogółem wynosił ubytek wskutek śmierci: 29 ssaków i 57 ptaków czyli 86 zwierząt wartości 20.000 zł.

Gotówką ofiarowali pp. Golimowski i Krzywoń z Poznania 140 zł, St. Lilpop z Warszawy 100 zł, Donat Stabrowski z Poznania 46·40 zł, członkowie Klubu Polskiego z Bydgoszczy 50 zł, Ganasiński z Warszawy 10 zł, Cukrownia Kościańska 200 zł, Wojnar z Warszawy 20 zł, Bank Związku Spółek Zarobkowych, Poznań 500 zł; Cukrownia w Zninie 100 zł, M. Stanisławski, Poznań 10 zł, Centrala Rolników S. A. Poznań 50 zł, Wreschiński, Poznań 50 zł.

Pod względem ogrodniczym dba o upiększenie całego ogrodu Dyrekcja Ogrodów Miejskich, której Magistrat wyasygnował 5.000 zł.

Dary w naturaljach złożyli: maj. Zieliniec, powiat Wrześnią, 10 ctr wytłoków suszonych i 1 konia na żer; maj. Perzyny, 4 konie na żer i 5 ctr siana; maj. Zborowo, 1 konia na żer; maj. Niemierzyce, 1 konia na żer; maj. Borek, 1 wagon słomy; Firma Bukowski, 1 wóz drągów sosnowych; Bank Kwilecki 100 ctr kartofli do sadzenia; N. M. Młyny Parowe 1 wagon otrębów i ospy; Firma Drzewo, Poznań, 1 wagon żerdzi; Cukrownia Kościańska 1 wagon wytłoków; Cukrownia Opalenica 1 wagon wytłoków; Hermanmühlen T. A., Poznań, 30 ctr ospy; Młyn Poznański T. A. 15 ctr ospy; Cukrownia w Zninie 12½ ctr wytłoków suchych; W. Tuchołka, Marcinkowo Dolne, 2·5 ctr wytłoków suchych; F. Kowalski i Łański, Poznań, 2 worki mieszanki; Dr. St. Kłusek, Poznań, 2 konie na żer.

Ogród Zoologiczny posiada własnej roli 27 morgów i dzierżawi od miasta 99·5 morgów, ogółem uprawia się 126·5 morgów. Z całego obszaru sprzątnięto paszę zieloną z 10 morgów koniczyny, a ponadto 304 ctr żyta, 85 ctr owsa, 98 ctr jęczmienia i 15 ctr pszenicy, ogółem 502 ctr zboża. Z okopowych osiągnięto 800 ctr ziemniaków i 1.100 ctr buraków. Z paszy suchej sprzątnięto 4 wozy siana koniczynnego i wszystką słomę zbożową.

Wysiano na wiosnę 7·20 ctr jęczmienia, 8 ctr owsa i 6·40 ctr mieszanki, zaś jesienią 60 ctr żyta i 4·5 ctr pszenicy.

Od 1. maja aż do końca września, w każdą środę, niedzielę i święta odbywały się koncerty 58 p. p. W zrozumieniu doniosłości Zwierzyńca, rozesłało bezinteresownie Polskie Tow. Księgarni Kolejowych „Ruch“ 750 propagandowych plakatów po znaczniejszych dworcach kolejowych. Z pomocą przyszły też wydawnictwa: „Dziennik Poznański“, „Kurjer Poznański“, „Orędownik“, „Polonja“ i „Katolik Polski“, umieszczając na swych łamach bezinteresownie i chętnie ogłoszenia popularyzujące instytucję. Trzy zaś pisma łowieckie: „Łowiec“ (Lwów), „Łowiec Polski“ (Warszawa) i „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie“ (Warszawa), jakoteż „Słowo Polskie“ (Lwów) i „Świat i Prawda“ (Grudziądz), starały się drogą artykułów zainteresować szerszy ogół społeczeństwa jedynym zwierzyńcem polskim.

Cześć i chwała! w podziękę wszystkim tym, którzy w jakiejkolwiek formie przyszli ojczystej placówce z życzliwą pomocą i wydatnem poparciem.



JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI

NIESZCZĘŚLIWE WYPADKI NA POLOWANIACH

Fatalne wypadki z bronią zdarzają się często. Tu postrzelono siebie, lub któregoś z naganiaczy, tam położono trupem swego towarzysza i t. p., a wszystko wskutek roztargnienia, lekkomyślności lub gorączki myśliwskiej. A choć sprawiedliwość wyda wyrok uniewinniający, to przecie pozostaną na całe życie ciężkie wyrzuty sumienia. Trochę tylko rozwagi, a zmniejszy się znacznie ilość wypadków.

Jako pierwszy weźmy wypadek rozsadzenia luf, który zdarza się przedewszystkiem u strzelb podłego gatunku. Dlatego należy nabywać broń przednich firm, nie żałować pieniędzy, wyrzec się wielu innych przyjemności, a kupić dobrą broń, która jest nieocenionym skarbem myśliwego. Przy sporządzaniu naboi trzeba mieć koniecznie „głowę na karku“, by nie wziąć za wiele prochu, co między innemi jest też przyczyną pęknięcia lub wydęcia luf.

Rykoszety t. j. odbicia się śrutu lub kuli mogą być najniewinniejszą nawet i nieraz zgoła nieprzewidywaną przyczyną wypadków. Dlatego polując w lesie na wąskich linjach, czy też na twardej ziemi, powinniśmy zawsze puszczać zwierzynę poza linję jak najdalej i wtedy strzelać, a już nigdy nie strzelać w chwili, kiedy mija sąsiadów. Byłem dwa razy świadkiem jak na polowaniu w Brześciu n./B., z powodu pominięcia powyższej zasady śrut trafił w nos towarzysza, a drugiego razu podziurawił znów płaszcz sąsiada, odbijając się od twardego lodu. Gdyby tak rykoszet uderzył w oko — kalectwo napewne gotowe.

Przedwczesne schodzenie ze stanowiska powoduje częste wypadki, szczególnie wtedy, kiedy myśliwi są — niestety! — tak ustawieni na stanowisku, że jeden drugiego nie widzi. Naturalnie, ze wtedy ten, czy ów sąsiad nie może wiedzieć, że towarzysz jego zeszedł ze stanowiska, podczas gdy miot trwa jeszcze. Wyskakuje zwierzyna, pada strzał i... jakże często ugodzony zostaje ten, który opuścił karygodnie stanowisko. Dobry jednak myśliwy, spodziewając się strzału, rozglądnie się wpierw wokoło, czy nie ma w pobliżu kogoś obcego. Postępując w ten sposób, unikniemy wiele nieszczęść. Miot natomiast należy uważać za skończony wtedy, kiedy wszyscy ludzie z nagonki wyjdą na linję strzelców.

Polując gremjalnie, idąc ławą lub w kotle, myśliwy jakkolwiek podniecony strzałami, powinien stale zważać na teren pod nogami, bo gdy się potknie i upadnie, odwiedziony kurek spada i następuje strzał w przestrzeń lub w towarzysza. Przeglądnąć też należy przed każdem polowaniem śrubki w obu antabkach, do których pas jest przypięty. Zaniedbanie tego było niejednokrotnie przyczyną upadku broni, a następnie nieszczęśliwego strzału. Gdy broń upadła na ziemię należy przekonać się natychmiast czy wyloty luf nie zostały zatkane. Strzał dany z lufy „zabitej“ powoduje zawsze strzaskanie lufy i śmierć lub kalectwo myśliwego.

Pamiętajmy o tem, że nie wolno bezwarunkowo strzelać w miot (przed siebie), gdy naganka podeszła na odległość strzału, a wtedy ochronimy ludzi z naganki od możliwych postrzałów. Artur hr. Sumiński w dziele „Myśliwy“ powiada, że „lepiej sto dzików przepuścić, niż do jednego człowieka strzelić“. Nie strzelać nigdy „na ślepo“ do czegoś ruszającego się w krzaku, dopóki nie przekonamy się, że tem „czemś“ jest w istocie zwierzyna.

Nie zwracać nigdy luf w stronę osób będących w pobliżu, choćby strzelba była nienabita. Doświadczenie bowiem uczy nas, że wszelkie nieszczęścia pochodzą właśnie z takich „nienabitych“ strzelb. Lufy stale wylotem do góry, a nigdy inaczej! Z reguły należy wyjąć ładunki po każdym miocie przy zejściu ze stanowiska i po skończonym kotle i vice versa: nabijamy broń dopiero na stanowisku, trzymając ją zwróconą w miot. Kończąc polowanie, siadając na wóz czy sanie, zrobić przegląd broni, czy lufy są wolne.

Powodem wielu wypadków jest karygodne mierzenie z broni do osób obecnych. Jest to lekkomyślność godna potępienia, której dopuszczają się nawet starsi i doświadczeni myśliwi, twierdząc, że mają broń nienabitą. Zbrodnią jest mierzenie do człowieka z broni choćby nienabitej nawet, tem bardziej, że z takich właśnie nienabitych strzelb, wielu poszło przedwcześnie na drugi świat. Nie zatykać lufy palcami ręki, a w czasie spoczynku, gdy broń opartą jest kolbą o ziemię, nie opierać się łokciami albo dłońmi obu rąk na wylotach luf. Ze względu na bezpieczeństwo osobiste i otoczenia, każda strzelba winna być w zasadzie uważaną za nabitą i przy obchodzeniu się z nią muszą być zachowane wszystkie, chociażby drobiazgowe ostrożności.

W końcu wspomnę tu o wypadkach przy sporządzaniu ładunków. Wypadki te były powodem licznych ofiar. Pamiętajmy, że ładunków nie fabrykuje się nigdy przy świetle świecy i że papierosów palić wtedy nie wolno, gdyż na stole jest proch, więc o eksplozję łatwo. Spłonki zakładać do łusek pustych, a nigdy do gotowych już ładunków.

Przestrzegając wyżej wymienionych zasad i reguł, zredukujemy znacznie ilość wypadków, które choćby nawet nie były śmiertelne, należą do najbardziej przykrych wspomnień każdego prawdziwego myśliwego. Myślistwo bowiem i polowanie winno być tylko przyjemnością i roskoszą, a przenigdy utrapieniem i zgryzotą przez całe nieraz życie.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920

(Dokończenie)

W obszernej sali na piętrze, siedział cały areopag bolszewicki z Bat'ką na czele i coś radzili. Gdym się zbliżył do niego, zmierzył mnie ponurym wzrokiem i spytał ochrypłym głosem, co mu mam do powiedzenia? Oświadczając mu, że nie jestem żadnym pułkownikiem i z Petlurą nie miałem nic wspólnego, twierdzę, że jestem aresztowanym przez jakąś pomyłkę lub oszczerstwo, czuję się niewinnym i proszę o przeprowadzenie śledztwa i stawienie mnie przed trybunał rewolucyjny, a jeśli będę winnym, na rozstrzelanie czasu zawsze jest dosyć. Powołałem się na świadków licznych wśród kolejowców, rej w całej bolszewickiej hecy wiodących.

W tej chwili wbiega do sali dwóch rzemieślników z Depot kolejowego i wręczają pułkownikowi dwie jakieś kartki zapisane. Długo Bat'ko obracał w swych grubych palcach ową „pisulkę", był widocznie ciężko „gramotnym", a zapytawszy mnie o imię, nazwisko i lata, zwrócił się do siedzącego naprzeciw jakiegoś młodego, sympatycznego cywilusa z zapytaniem, kim ja jestem, a otrzymawszy przychylną dla mnie odpowiedź, że należę do spokojnych, nie wdających się w politykę mieszkańców, z podobnem pytaniem zwrócił się do stojącego za mną dyżurnego oficera, w którym poznałem telegrafistę kolejowego Tichonowa, tegoż samego, który w Duchonina wagonie mówił mi o mych przestępstwach i oznajmił, że mnie zna. Przenikliwy jego wzrok utopiony we mnie nie wróżył mi nic przychylnego dla mnie, lecz zgadzał się on z opinją swego młodszego towarzysza, zastrzegając się jednakże co do nieświadomości o mych politycznych przekonaniach.

Nie pamiętam już jakich użyłem argumentów i co mówiłem, lecz w końcu zapytałem pułkownika, za co każe mnie rozstrzelać, na co ten ironicznie mi odrzekł: „nie wsio wam rawno, budet'ie znat' ili niet".

Logicznie! Wziąwszy jedną z podanych mu przez kolejowców karteczek, napisał „oswobodżon", przyłożył krwawą, czerwoną, pięcioramienną gwiazdę na niej i podajac mi ją, żądał słowa honoru, że nie ucieknę i jutro rano stawię się sam przed trybunałem, który mą sprawą się zajmie, poczem podał mi swą grubą dłoń, co widząc ów oficer, uczynił to samo, ja zaś podszedłem do owego cywila i uścisnąłem mu jego prawicę, jak widać, dotąd nie zbrukaną kałem bolszewizmu.

Ani wówczas, ani obecnie nie umiałbym określić tych przemijających wrażeń, jakie doznawałem w tej chwili, gdzie od pewnej śmierci powracałem do życia. Ten, kto przeżywał podobne chwile, a takich jest wielu, zna te uczucia i wrażenia, zaś ten, kto nie doświadczał tego, nie jest w stanie dostatecznie pojąć ni tego ogromu nieszczęścia przeżytego, ani tej radości powrotu do świata.

Zaledwie mi zarzucili na ramiona ubranie, wybiegłem jak szalony z sali. Dwoma susami byłem na dole. Mój konwój chciał mnie przeprowadzić i zapewne za pierwszym węgłem domu zastrzelić, co prawie zawsze po uwolnieniu w sztabach się zdarzało „pa uszybkie", lecz srogi głos oficera ich powstrzymał i zawrócił do sali. Z odzieżą w rękach, nie odczuwając mrozu, jak szalony pędziłem do domu. Skręcając koło owego tunelu w boczną ulicę, natknąłem się na leżącego we krwi jakiegoś biedaka, już po mnie rozstrzelanego. Jęcząc, dogorywał. Przebiegając koło kościoła, padłem na jego stopnie, wznosząc krótką modlitwę za me ocalenie, wbiegłem do proboszcza, by mu rękę uścisnąć.

W domu zastałem znękaną i spłakaną rodzinę, żonę z dwoma córkami stojące na środku pokoju. Przed chwilą proboszcz uwiadomił, że dla mnie ratunku już niema, a słysząc ostatnie salwy w tunelach, był pewny, że już nie żyję. Padliśmy przed wizerunkiem Stwórcy na kolana i może nie często On słyszał tak szczerą modlitwę, jak dzisiejszą naszą.

Po zaaresztowaniu mem, czekająca banda z owym Iwanem Tymofiejewym wtargnęła do mego domu, splondrowała całe mieszkanie, zabrała wszelkie cenne rzeczy, nawet pozdzierała medaliki z szyi córek i pierścionki z palców żony.

Dnia następnego o ósmej udałem się do Savoy'u. Zastałem cały trybunał w pełnym składzie z pułkownikiem na czele. Sądzili jakiegoś delikwenta, a po wydanym wyroku „k'razstriełu", pułkownik zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy mnie nie rozstrzelali? Był w dobrym humorze. Mówił mi, że mam niezwykłe szczęście, gdyż dość było przystanąć dla zapalenia papierosa ordynansowi po mnie posłanemu, aby ormianin mnie rozstrzelał. Radził mi wziąć przepustkę i niezwłocznie wyjechać z miasta, gdyż nie może odpowiadać za następstwa.

Wróciwszy do domu, zastałem go zajętym przez bolszewicki sztab Pigulewicza, żonę z dziećmi na ulicy wyrzucone. Ulokowawszy rodzinę, w przebraniu wyjechałem do Winnicy, skąd po miesiącu wyjechaliśmy z brygadą kolejarzy przez Czerkasy, Bachmacz, Homel, Mińsk, Baranowicze, do kraju, dokąd po pięciu tygodniach pełnej przygody podróży, w chmurny, dżdżysty poranek 30. maja 1919 r. przybyliśmy i znaleźliśmy się w Warszawie, bez środków, dachu i odzienia — po czterdziestoletniej pracy na obczyźnie, lecz pełni otuchy i nadziei w lepszą przyszłość.

Koniec

Korespondencje

Jarosław, w czerwcu 1926

O wynikach polowań i stanie zwierzyny w tut. powiecie za ubiegły sezon, pojawiły się na łamach „Łowca" już dwie korespondencje, pierwsza w n-rze 3-cim na str. 43, druga w n-rze 5-tym na str. 74. Obecnie pozwalam sobie przesłać sprawozdanie z okolic tut. (wzgl. sąsiedniego) powiatu, które w powołanych korespondencjach nie były poruszane. I tak, w dobrach Ordynacji hr. Dzieduszyckich w Zarzeczu, strzelono na dwu polowaniach, częścią kniejowych, częścią polnych 532 zające, strzelono też na podjeździe kilka rogaczy. Szkodników strzelono 198 sztuk, na co złożyło się 8 lisów, 16 psów, 23 kotów, 31 jastrzębi, 54 sojek, 57 wron, 7 srok, 2 czaple.

W dobrach Wysockich hr. Zamojskich strzelono na podjazdach w rewirach Nowa Grobla, Korzenica, Maczugi, Czerniawka 21 kozłów, zaś w rewirze Czerniawka przy psach 3 dziki. Na polowaniach zajęczych strzelono w rewirze Czerniawka dnia 12. października 1925 w 3 strzelby 18 zajęcy; w Miękiszu-Moszczanach dnia 15 grudnia w 6 strzelb: 458 zajęcy; Moszczany-Harytany dnia 16. stycznia 1926 w 5 strzelb: 21 zajęcy; Wysock-Bresina dnia 18. stycznia w 6 strzelb: 243 zaj.; Bukuwina-Bobrówka dnia 20. stycznia w 5 strzelb: 200 zajęcy.

Towarzystwo myśliwskie im. św. Huberta w Jarosławiu na dzierżawionych terenach — dnia 10. paźdź. 1925 na 3-godzinnem polowaniu płotkiem „za koleją i pod Pawłosiowem" w 10 strzelb: 30 zajęcy; dnia 24.

października popołudniu płotkiem na łąkach w Rozborzu w 10 strzelb: 24 zające i 2 kaczki; dnia 14. listopada na przedmieściu kostkowskiem w kotłach w 10 strzelb: 59 zajęcy; dnia 24. listopada popołudniu, pierwsza część Mirocina, płotkiem, w 10 strzelb: 30 zajęcy; dnia 12. grudnia w kotłach na Misztalach w 10 strzelb: 46 zajęcy; dnia 19. grudnia w kotłach na Blichu, w 12 strzelb: 58 zajęcy; dnia 24 grudnia trzygodzinne polowanie wigilijne w Garbarzach i Szwarcmanówce w 6 strzelb: 20 zajęcy; dnia 18. stycznia 1926 w kotłach na Kruhelu w 14 strzelb: 107 zajęcy; dnia 21. stycznia w kotłach, druga część Mirocina i pierwsza część Rozborza, w 10 strzelb: 71 zajęcy; dnia 28. stycznia w Łowcach, w 12 strzelb, częścią w kniei, częścią na polu kotłami: 72 zające; dnia 30 stycznia w kotłach, druga część Rozborza w 8 strzelb: 36 zajęcy. Z powodu niedopisania pogody, dwa tereny pozostały nieopolowane.

Jak z powyższego sprawozdania wynika, stan zajęcy w ubiegłym sezonie, mimo dwukrotnego wylewu Sanu, był bardzo dobry, stan sarn okazuje też stale znaczny przyrost, zwłaszcza na większych obszarach, gdzie nie szczędzą ni kosztów, ni trudu, dla racjonaluej rozmnoży tej ozdoby lasów. Podczas polowań spotykano też stale kuropatwy i to często w pełnych już stadkach w przeciwieństwie do sezonów ubiegłych lat, co wskazuje na stały a znaczny przyrost i pozwala żywić nadzieję, że przy sprzyjających warunkach w niedługim już czasie można będzie otworzyć polowanie na to ptactwo.

Stan zwierzyny w tut. powiecie nie jest więc tak zły, jakby to z pierwszej z powołanych korespondencji wnosić należało, owszem należy przyjąć, że stan ten poprawił się znacznie, a że tego nie spostrzegł pierwszy korespondent, to chyba należy przypisać temu, że widocznie poruszał się na terenach, które jeszcze ciągle ogólny zły stan zwierzyny wykazują. Powołana przez tegoż korespondenta, jako powód złego stanu zwierzyny „dążność gospodarzy terenów do wybicia jaknajwiększej zwierzyny i urządzanie polowań przez rozmaite Spółki, lub rozmaitych panów, którzy polują w dnie, a jeszcze chętniej w noce, tak w dnie powszednie, jak i we wszystkie święta bez względu na pogodę, porę roku i czas ochronny“, nie jest nawet w części uzasadnioną i została dostatecznie odpartą już przez drugiego korespondenta — Delegata M. T. Ł., a uważam ją w korespondencji do „Łowca“ za nieodpowiednio użytą, bo tego rodzaju anomalja należy wskazywać szczegółowo czy to Starostwu, czy też Policji czy Sądom, które, jak to dotychczasowa praktyka w tut. powiecie poucza, nie omieszkają z pewnością usunąć tak sprzecznych z Ustawą Łowiecką stosunków.

Ogólnikowe jedynie przytaczanie tych anomaljów w formie korespondencji do „Łowca“, złemu z pewnością nie zaradzi, a wyrabia tylko fałszywe pojęcie o stosunkach myśliwskich tutejszego powiatu.

Tadeusz Wodziński.

* * *

Kobylec, w czerwcu 1926.

Pośpieszam z odpowiedzią na zapytanie pomieszczone w n-rze 6. „Łowca“ z 1926 r., str. 95.

Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że niepodobna podciągać pod jeden strychulec: srok, wron, kawek i gawronów, gdyż szkodliwość pierwszych dwu gatunków t. j. srok i wron, jest niewątpliwą i oddawna przez ornitologów i myśliwych stwierdzoną. Oba te gatunki należące do ptaków szkodliwych, powinny być tępione i kwestja ta nie wymaga bliższego uzasadnienia.

Co do kawek: gatunek ten występuje na wsi z reguły nielicznie i dlatego uważam za wykluczone, by mogły być szkodliwe dla rolnictwa w okresie siejby lub po wykłoszaniu się zbóż. U tego gatunku przeważa stanowczo pożytek, jaki przynoszą przez tępienie szkodliwych owadów i pędraków.

Pozostają gawrony (Corvus frugilegus). Te występują istotnie masowo, gnieżdżą się gromadnie i tworzą kolonje. W pobliżu miejsc, gdzie się gnieżdżą (jak n. p. stary park dworski w Tułukowie, w powiecie śniatyńskim) — często i w większym promieniu — wyrządzają istotnie pewną szkodę w okresie siejby*) — spadając masowo na pola świeżo zasiane i wyjadając nie dość dobrze przykryte ziarno.

Następnie znów powodują pewien ubytek ziarna w półkopkach, na które zapadają stadami w towarzystwie wron i wyłuskują ziarno ze snopów. Wyrządzają też pewną szkodę w dojrzewającej kukurudzy, do której — jak się przekonałem — także sroki bardzo chętnie zaglądają.

Nie mogę jednak przemilczeć, że gawrony także znaczny pożytek przynoszą przez tępienie owadów, a szczególnie (za pługiem) pędraków. W wspomnianym Tułukowie nie widzę nigdy szkód zrządzonych przez chrabąszcza majowego właśnie dzięki masowej obecności gawrona.

Zbytnie rozmnożenie się gawrona wpada istotnie w oko, nie stanowią już w tym względzie pewnego hamulca wakacje, gdyż wskutek znacznego podrożenia amunicji, obarczeni ciężarem wekselków ojcowie i wujaszkowie nieletnich myśliwych — mniej hojnie zaopatrują młodzież w amunicję. Dlatego sądzę, że należałoby zwrócić uwagę na tępienie tych ptaków, ale głównie tylko w tych okolicach, gdzie są ich gromadne kolonje, które wskazać mogą nasi delegaci.

Leopold Łysakowski.

* * *

Rudnik n. S. w czerwcu 1926.

Dnia 7. czerwca miałem obrazek z życia zwierzyny, który uważam za dowód instynktu „mimicry“ u kilkudniowego koźlęcia sarniego.

Jechałem konno linją leśną — przez linję przeszła niedalego odemnie koza, a za nią widocznie kilkudniowe, bo źle jeszcze chodzące koźlę. Jadąc dalej, byłem już o kilkanaście kroków od miejsca, w którem przeszły, gdy z lasu wyszło, dążąc za matką, drugie takie same koźlę. Spostrzegło mnie, widocznie zrozumiało, że nie potrafi przejść zanim nadjadę i zawróciło do lasu, z którego wyszło. Nie starało się jednak — jakby należało oczekiwać — odejść jaknajdalej, lecz podeszło do sosny rosnącej tuż przy linji (o jakie trzy kroki od linji), położyło się przy niej i przytuliło się jak mogło najściślej do jej pnia.

Ze względu na to, że sierć małego koźlęcia (prócz centków) przypomina kolor kory sosnowej oraz na ten fakt, że koźlę nie starało się uciekać, lecz zamiast tego widocznie pragnęło upodobnić się jaknajbardziej do pnia sosny — uważam to stanowczo za objaw instynktu „mimicry“, zadziwiający bądź co bądź u kilkudniowego zaledwie stworzonka.

Podziwiałem też, jak zręcznie potrafiło to koźlątko przytulić się do pnia sosny, tak, aby z nim utworzyć możliwie jaknajbardziej jedność. Gdybym tego koźlęcia nie był zobaczył na linji i gdybym w skutku tego nie był za niem patrzał, byłbym przejechał obok niego, nie zauważywszy go, tak dokładnie było przytulone do pnia sosny.

Niejeden myśliwy miał sposobność widzieć dowody miłości macierzyńskiej u zwierząt, dochodzące nieraz do

*) Wiekszej szkody doznają szczególnie ci, którzy sieją wcześnie (pierwsi rozpoczynają siejbę), więc dobrzy gospodarze.

bohaterstwa. Tak naprzykład kuropatwa starka rzuciła się do oczu wyżłowi mojego dobrego znajomego, który pobiegszy za nim w pola, wystawił (było to w lipcu) stadko nie furkających jeszcze kuropatw. Nigdy jednak do tej pory nie słyszałem o dowodach miłości ojcowskiej u zwierząt czworonożnych, zwłaszcza żyjących nie w parze lecz w stadzie. Dowodzi jej następująca historja, którą powtarzam na odpowiedzialność tego, który mi ją dziś opowiedział. Jest nim leśny Gontek, który przez czas swojej przeszło trzydziestoletniej służby, nie zasłużył na opinję blagiera.

Spotkał on w tym roku w polu chłopskiem tuż pod lasem kilkudniowe koźlę sarnie, Obawiając się, by chłopcy pasący w pobliżu nie złapali koźlęcia, chciał je zestraszyć i nawrócić do lasu. Ponieważ jednak koźlę jeszcze bardzo źle chodziło, więc doszedł je, wziął na ręce i niósł je do lasu. Koźlę przestraszone, zaczęło oczywiście piszczeć. Na to wyskoczyła z zagajnika nietylko koza, ale i kozioł, który zbliżył się do Gontka na jakieś 10 kroków, strasząc go bekiem, tupiąc na niego i nastawiając rogi, jakby w chęci zaatakowania go. Kozioł i koza eskortowali go na bliski dystans w ten sposób przez krótką przestrzeń, dzielącą go od lasu. Doszedszy do lasu, Gontek puścił koźlę. Zaledwie oddalił się o kilka kroków, oboje rodzice przybiegli do koźlęcia, obwąchali je, oblizali, wzięli z dwóch stron między siebie i poszli w ten sposób do będącego tuż obok zagajnika.

Prawda to, czy „taćma“, nie wiem — w każdym razie relata refero.

J. Tarnowski.

* * *

Nowy Sącz, w czerwcu 1926.

Niewyczerpane wiadomości ze stolicy „Podkarpacia“ — jak nazwał czcigodny delegat z tejże stolicy w naszem szanownem piśmie „Łowca“ Nr. 4. z b. r.

Faktyczne wiadomości te są niewyczerpane choćby z wyż cytowanym artykule, a to: chociażby pominięcia przez czcigodnego delegata wielu żywotnych spraw, dotyczących się rozwoju Towarzystw myśliwskich, — a także i zwierzyny łownej.

Znalazłoby się jeszcze dużo do życzenia w przestrzeganiu i chronieniu zwierzyny przed dzierżawcami poszczególnych rewirów. którzy prowadzą rabunkową gospodarkę, jak wspomniana przez Szan. delegata Dąbrówka i wiele, wiele innych.

Najważniejsza w tym kierunku praca, celem usunięcia obecnego stanu, byłaby stanowcza działalność delegatów M. T. Ł., jak również i referentów spraw łowieckich w Starostwach, nie oglądając się na żadne wpływy osób politycznie zaangażowanych.

Skutecznie dają się odczuwać energiczne zarządzenia P. Kom. i referenta spraw Łowieckich w Starostwie grybowskiem P. Dra P., gdzie zarządzenia jego czyszczą powiat z takich pseudo-myśliwyah, tworzących spółki ciche, z poszczególnymi dzierżawcami i polujących nawet bez kart myśliwskich. Pożądanem byłoby, by Policja Państwowa energiczniej zajęła się tępieniem kłusowników i odbieraniem broni, jak tego daje wzorowy przykład posterunek Pol. Państw. w Gołąbkowicach obok N. Sącza.

Towarzystwo zwraca się z pytaniem do czcigodnego delegata, czy nie należałoby, celem jednolitej gospodarki łowieckiej, wprowadzić chociaż dwa razy w roku konferencje Towarzystw z całego powiatu, pod przewodnictwem Szan. Delegatów i złożenie sprawozdań całorocznych na ręce delegata z całości gospodarki Towarzystw na ich własnych czy dzierżawionych rewirach i omówienia środków zaradczych.

Podpisane Towarzystwo istnieje w N. Sączu od 1921 r., walczy ciężko o wyrwanie z rąk takich dzierżawców rewirów, w których po trzyletnim czasie nie można urządzić większego polowania z powodu jeszcze słabego stanu zwierzyny.

W ubiegłym sezonie w pojedynkę na 1680 ha odstrzelono 59 zajęcy, natomiast na rewirze Wielogłowy, gdzie dłuższy czas dzierżawi członek naszego Tow. (obecny prezes) zostało odstrzelone 56 zajęcy, stosunkowo na 400 ha. Lisa w naszych rewirach niema.

Szkodników zostało ubitych: wron 76, srok 32, jastrzębi 13, psów 1, kotów 6.

Oby św. Hubert dopomógł w dalszych pracach, a szczególnie w sprawie nowej a lepszej ustawy łowieckiej, która corychlej winna ujrzeć światło dzienne.

Tow. Myśliwskie „Dunajec“.

* * *

Skałat, dnia 19. maja 1926.

Do Starostwa w Skałacie

Przebieg i rezultaty sezonu łownego 1925/26, pozwoliły najdokładniej zorjentować się w stanie zwierzyny łownej w tutejszym powiecie, a wnioski stąd wynikające, zmuszają delegatów M. T. Ł. na powiat skałacki do przedłożenia Starostwu następującego sprawozdania.

W pierwszym rzędzie stwierdzić należy, że na obszarach tych spółek łowieckich, w obrębie których prawo polowania wydzierżawione jest prawdziwym myśliwym i hodowcom zwierzyny, którzy nie szczędzą trudów i kosztów dla podniesienia jej stanu na własnym lub wydzierżawionym obszarze — stan zwierzyny łownej znacznie się poprawił i rokuje jaknajlepsze nadzieje na przyszłość.

Do rzędu takich myśliwych i hodowców należy zaliczyć tych właścicieli lub dzierżawców terenów łowieckich, gdzie skonstatowano istnienie wszelkich czynników sprzyjających normalnemu przyrostowi zwierzyny, a to: Intensywne karmienie w porze zimowej, dobra i sprężysta organizacja straży łowieckiej, systematyczne tępienie szkodników, a wreszcie racjonalne wykonywanie samego prawa polowania przy jaknajskrupulatniejszem przestrzeganiu wszelkich przepisów ustawy łowieckiej i etyki myśliwskiej.

Natomiast na tych obszarach łowieckich, gdzie prawo polowania, drogą wydzierżawienia przez odnośne spółki łowieckie, dostały się niestety w ręce osobników, którzy myślistwo pojmują jako środek do wytępienia zwierzyny lub jako źródło dochodu, a uprawiają je z jaskrawym gwałceniem na każdym kroku przepisów ustawy łowieckiej i czasów ochronnych — na tych obszarach stan zwierzyny łownej obniżył się w zastraszający sposób, spadając w niektórych gminach niemal do zera.

Wobec powyższego, podpisani delegaci M. T. Ł. upraszają Starostwo, by w najbliższej przyszłości wydać zechciało następujące zarządzenia i przepisy:

1. Zamknąć polowanie na wszelką zwierzynę (z wyjątkiem ptactwa wodnego, błotnego i drapieżników) na obszarze spółek łowieckich następujących dziewięciu gmin katastralnych: 1. Krzywe, 2. Malinówka, 3. Chmieliska, 4. Turówka, 5. Tarnoruda, 6. Faszczówka, 7. Krasne, 8. Sadzawki, 9. Stawki, a to na czas od 1. października 1926 do 1. października 1927;

2. Przedłużyć obowiązujący w całym powiecie zakaz polowania na rogacze (sarny) i kuropatwy na dalsze dwa lata;

3. Wydawać karty na broń myśliwską (śrutówki,

sztucery i t. p.) tylko petentom, mogącym się wykazać posiadaniem karty myśliwskiej;

4. Zastosować przy wydawaniu kart myśliwskich jaknajdalej idącą rezerwę i ostrożność, tak, aby jedynie petenci dający pełną gwarancję przestrzegania ustawy łowieckiej i czasów ochronnych, byli uwzględniani;

5. Wydać wszystkim posterunkom Policji Państwowej w powiecie, następujące przypomnienia i instrukcje:

a) kontroli nad przestrzeganiem przepisów ustawy łowieckiej i czasów ochronnych,

b) bezwzględnego ścigania i tępienia kłusownictwa i sidlarstwa często jeszcze bezkarnie się panoszących,

c) jaknajściślejszej kontroli dokumentów osób polujących wraz z pouczeniem, że samo posiadanie karty na broń bynajmniej nie uprawnia do polowania, lecz, że każdy polujący obowiązany jest ponadto wylegitymować się kartą myśliwską i upoważnieniem lub zaproszeniem właściciela względnie dzierżawcy terenu łownego,

d) bezwzględnej konfiskaty broni i dokumentów osób, wykraczających przeciwko przepisom ustawy łowieckiej.

Za celowość i racjonalność zarządzeń pod 1. do 5. podanych, a mających na celu jedynie i wyłącznie utrzymanie i podniesienie stanu zwierzyny kultury łowieckiej w tutejszym powiecie, delegaci M. T. Ł. biorą na siebie pełną odpowiedzialność i upraszają Starostwo o jaknajrychlejsze ich zastosowanie.

Aleksander Zaleski *Leon Prelicz*
delegaci

†

TADEUSZ STARZYŃSKI

b. poseł na gal. Sejm Krajowy, marszałek pow. żółkiewskiego, czł. Małop. Tow. Łowieckiego ur. w 1856 r., zmarł 29. lipca 1926 r. w swoim majątku w Derewni.

Powszechnie szanowany ziemianin, zamiłowany myśliwy-hodowca, drogą po sobie pozostawia pamięć u wszystkich, co się z Nim spotykali czy to w ośrodkach towarzyskich, czy też pod Znakiem św. Huberta. Przemiły gospodarz u siebie w domu i w kniei wzbudza serdeczny żal za sobą i trwale wspomnienie przebytych z Nim wspólnie chwil.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy. *A. M.*

Okólnik

L. 29738/26 *Tarnopol dnia 7. lipca 1926.*

Do wszystkich Starostw Województwa Tarnopolskiego.

Doszło do naszej wiadomości, że niektóre Starostwa mimo zupełnego zamknięcia na zasadzie § 57 lit. c ust. łowieckiej — polowania na pewnego rodzaju zwierzynę łowną we wszystkich lub niektórych okręgach polowania, udzielają stronom insteresowanym pozwolenia na odstrzał zwierzyny łownej, a nawet na urządzenie gremjalnego polowania, nie zasięgnąwszy poprzednio opinji kompetentnych czynników. Zauważam przeto, że udzielenie tego rodzaju pozwoleń nie doprowadzi do celu podtrzymania regeneracji pewnego rodzaju zwierzyny łownej, dla której odnośne zarządzenie zostało wydane i zakazuję w przyszłości zasadniczo udzielania stronom interesowanym pozwolenia na odstrzał zwierzyny łownej. Od wydanego zarządzenia mogą odstąpić Starostwa tylko w tych wypadkach, w których za udzieleniem zezwolenia przemawiać będą względy z § 57 lit. a ust. łowieckiej. Jednak i w takich wypadkach można będzie udzielić pozwolenie na odstrzał pewnej ściśle oznaczonej ilości zwierzyny i tylko po uprzedniem zasięgnięciu opinji Wydziału Powiatowego i Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie względnie delegata wymienionego Towarzystwa. Udzielenie zaś proszącym pozwolenia na urządzenie gremjalnego polowania należy zaniechać bezwarunkowo w tych okręgach polowania, w których wydane zostało zarządzenie na zasadzie § 57 lit. c. ustawy łowieckiej, zamykające zupełnie polowanie na pewnego rodzaju zwierzynę, którym w danej okolicy zagraża wytępienie.

Wojewoda *Zawistowski.*

* * *

Z. 31832/26 *Tarnopol dnia 27. lipca 1926.*

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie we Lwowie na podstawie informacji swych delegatów zakomunikowało tutejszemu Urzędowi, że niektóre Starostwa tutejszego Województwa — zamknęły zupełnie na dwa lata po myśli § 57 lit. c ust. łowieckiej, w okręgach łowieckich swego powiatu polowanie na ptactwo wodne i błotne, zamiast przedłużyć corocznie porę ochronną dla tego ptactwa w myśl wskazówek tutejszego reskryptu z dnia 2. maja 1926 L. 19828/V. Ponieważ wydane ewentualne odnośne zarządzenie sprzeciwia się intencji zacytowanego reskryptu, według którego należało rozszerzyć porę ochronną dla ptactwa wodnego i błotnego z roku na rok na czas od 1. kwietnia do 14. lipca 1927 r., przeto poleca się Starostwu cofnąć odnośne zarządzenie, którem zamknęło Starostwo zupełnie na dwa lata do roku 1927 polowanie na ptactwo wodne i błotne, a wydać nowe na podstawie § 57 lit. c zacytowanej ustawy zarządzenie, rozszerzające w 1927 r. porę ochronną dla ptactwa wodnego i błotnego w czasie od 1. kwietnia do 14. lipca 1927.

Wojewoda w z. *Siedlecki.*

KOMUNIKAT
Komitetu Jubileuszowej Wystawy Ogrodn. w Poznaniu

od 25. września do 3. października 1926.

Ogrodnictwo polskie od czasu powstania niepodległości państwowej w szybkiem tempie się rozwija, a produkcja jego wykazuje z roku na rok coraz to większe udoskonalenie. Tak samo ilościowo produkcja się zwiększa i jeżeli się rozchodzi o produkcje warzyw oraz drzew i krzaków owocowych, to nietylko uniezależniliśmy się w zupełności od zagranicy lecz jesteśmy w możności eksportować.

W związku z należytem zorganizowaniem eksportu naszego wyłaniają się kwestje udoskonalenia mechanizacji pracy oraz technicznego przygotowania handlowego osiągniętych produktów, jakniemniej techniczne udoskonalenie naszego przetwornictwa.

Komitet Wystawy w programie swym w szerokim zakresie uwzględnił powyższe zagadnienie i zaprosił do udziału w wystawie wszystkie zainteresowane firmy. A więc fabryki maszyn i narzędzi, oraz środków pomocniczych, fabryki konserw, hodowle roślin oraz firmy nasienne.

Należy się spodziewać, że powyższe firmy w własnym dobrze zrozumianym interesie w wystawie tej wezmą udział, przyczyniając się tem samem do rozwoju własnego przedsiębiorstwa oraz ogrodnictwa polskiego, którego pojemność konsumcyjna wzrastać będzie w miarę udoskonalenia warsztatów pracy.

Obecnie sytuacja w tej dziedzinie przedstawia się w ten sposób, że w bardzo wielu wypadkach sprowadzamy poszczególne środki produkcji oraz urządzeń technicznych z zagranicy, nie wiedząc o tem, że te same fabrykaty możemy nabywać niejednokrotnie nawet w lepszej jakości w kraju.

Na skutek starań Komitetu Jubileuszowej Wystawy Ogrodniczej, Ministerstwo Kolei w uwzględnieniu naprowadzonych przez Komitet danych zezwoliło, że wszelkie eksponaty na Wystawę Ogrodniczą podlegające szybkiemu zepsuciu względnie zniszczeniu, a więc owoce i warzywa, świeże, rośliny żywe, kwiaty cięte lub w doniczkach, korzystać będą z 50% ulgi kolejowej w drodze na Wystawę oraz w powrotnej.

Wszelkie inne eksponaty korzystają z bezpłatnego transportu w drodze powrotnej.

Osoby zwiedzające Wystawę korzystają również z 33⅓% ulgi kolejowej, realizowanej w drodze powrotnej.

Wystawcom Komitet Wystawy prześle w najbliższym czasie dokładne wskazówki dla uzyskania ulg na Stacji nadawczej.

W myśl pisma Ministerstwa Kolei, wszystkie Dyrekcje Kolejowe zostały odpowiednio powiadomione.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.